



Jesteśmy dzisiaj świadkami, jak niezwykle ważne słowo – DEMOKRACJA – traci swoją rangę, a jego rola w debacie publicznej wyraźnie maleje. Znajdujemy je co prawda na sztandarach wszystkich opcji politycznych na całym świecie i to niezależnie od ich faktycznych intencji i działań. Nawet najgorsze dyktatury, stosujące brutalną przemoc i terror, bez żenady głoszą przywiązanie do reguł demokratycznych. Odmieniana przez wszystkie przypadki DEMOKRACJA stała się więc obiektem wyrafinowanych manipulacji, mniej lub bardziej subtelnych nadużyć, czasem wręcz bezczelnych kłamstw. W rezultacie słowo traci swoją pierwotną siłę, jego znaczenie się rozmywa, i większość z nas ma duże kłopoty, gdy przyjdzie określić, jaka treść kryje się pod tym naładowanym historią i emocjami hasłem. Próbując zatrzymać to szkodliwe pomieszanie pojęć, poprosiliśmy szereg osób o określenie co – ich zdaniem – stanowi ISTOTĘ DEMOKRACJI, czyli cechy i wartości, bez których słowo to staje się pustym sloganem, albo, co gorsza, obraca się w swoje przeciwieństwo. Mamy nadzieję, że te opinie, które zamierzamy publikować w kolejnych numerach PAUzy, zainteresują naszych Czytelników i sprowokują komentarze.

Zaczynamy od tekstu, który nadesłała nam Pani Profesor Ewa Łętowska, pierwsza dama polskiej Temidy.

Redakcja

ISTOTA DEMOKRACJI

Powtarzania nigdy dosyć

EWA ŁĘTOWSKA

Demokracja: rządy „ludu, dla ludu i przez lud” – to klasyczne określenie Abrahama Lincolna – jest piękne, lecz nie odpowiada na pytania:

- Kto do „ludu” należy, a kto nie?
- Jak „lud”, liczący kilka, kilkanaście, czy kilkadziesiąt milionów, ma w praktyce na co dzień rządzić? Trzeba przecież podejmować ustawicznie miliony decyzji: ustawodawczych, administracyjnych, trzeba rozstrzygać pojedyncze spory, podejmować różne decyzje.
- Jak ustalić, w jakim trybie, co dla ludu jest dobre, pożądane, oczekiwane, skoro przecież nie da się osiągnąć jedności, a ma się rządzić „dla” ludu?

W zależności od tego, jakie tu padną odpowiedzi, „demokracja” obrosta w przymiotniki: mówi się więc o demokracji liberalnej, socjalistycznej, większościowej, deliberatywnej, autokratycznej, autonomicznej i wielu, wielu innych modelach, ustalanych wedle różnych kryteriów, istniejących historycznie i współcześnie, teoretycznych i praktycznych.

Warunek konieczny, choć niewystarczający, wspólny dla wszystkich ujęć demokracji: wybory

– regularnie przeprowadzane, wedle z góry określonych założeń sformułowanych w Konstytucji i prawie wyborczym, wybory, których przeprowadzeniu nie można zarzucić braku swobody i fałszu wyników.

Polska niewątpliwie jest państwem demokratycznym: wybory się u nas odbywają, jak dotąd były wynikiem, no może nie nieskrępowanej, ale jednak niezafałszowanej gry konkurentów politycznych. Jaka to jednak demokracja?

Decydująca o modelu demokracji jest Konstytucja: ona wskazuje „warunki brzegowe”

Artykuł 2 deklaruje że chodzi tu o „demokratyczne państwo prawa”. Ale tylko naiwni mniemają, że ta deklaracja równa się rzeczywistości. Art. 2 jest zaledwie dyrektywą, wytyczną, drogowskazem dla wszystkich organów państwa. Nie wystarczy to, co „na papierze”. Ustawodawca może nawet uchwalić wszystko, co niezbędne jest państwu prawa. Ale to, czy państwo prawa gdzieś jest, czy go nie ma, decydują realne zmiany rzeczywistości. **O państwie prawa można więc mówić, gdy także praktyka, standard są takie, jak się tego wymaga, gdy organy państwa umieją i chcą realizować państwo prawa.**

Koncepcja demokratycznego państwa prawa w art. 2 Konstytucji spina nas z prawnym systemem Unii Europejskiej. Ona bowiem właśnie państwo prawa, *rule of law*, uważa za jedną ze swych podstaw aksjologicznych. Mówi o tym art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej, wymagający „poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawa, jak również poszanowania praw człowieka, w tym osób należących do mniejszości”. To sprzężenie wyjaśnia zarazem dlaczego:

- stan praworządności w państwach członkowskich interesuje organy UE, które mogą w tym względzie formułować oceny i stawiać wymagania (co czasem bywa ambarasujące);
- standardy praktyczne państwa prawa wyznacza przy tym orzecznictwo unijne (Luksemburg, Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej) i orzecznictwo z zakresu praw człowieka (Strasburg, Europejski Trybunał Praw Człowieka), a nie wyłącznie tylko orzecznictwo i praktyka organów krajowych. ▶



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

► W Polsce problemem jest właśnie niespójność tego, co zadeklarowane w przepisach, i tego, co dzieje się w praktyce (standard), ocenianej w perspektywie zarówno konstytucyjnej (na papierze to wygląda lepiej, w praktyce gorzej) jak i europejskiej (nasz standard praktyki nie dorównuje unijnej).

Kto jest „ludem” w rozumieniu Konstytucji (art. 1 i art. 4)

Artykuł 1 Konstytucji stwierdza, że „Rzeczpospolita jest **dobrem wspólnym wszystkich obywateli**”. Natomiast **art. 4** mówi, że „**władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do narodu**”. Uważnij czytane o wszechwładzy większości parlamentarnej. To, że aktualna większość parlamentarna wygrała wybory, nie oznacza bowiem, że może ona sama tylko, bez uwzględnienia interesu i wysłuchania mniejszości, definiować, co to jest dobro wspólne, i decydować arbitralnie o jego realizacji.

Jeżeli naród jest suwerenem, to obejmuje to jego całość, a nie tylko tę większość, która wygrała wybory. Zaś przegrana w wyborach nie oznacza, że głosujący na opozycję przestają być częścią suwerena.

Jak na co dzień „naród” wykonujący władzę zwierzchnią ma rządzić

– wedle art. 4 ust. 2: „naród sprawuje władzę poprzez swych przedstawicieli”. Konstytucja determinuje zarazem rudymenty systemu wyborczego, strukturę i fundamenty funkcjonowania rządu, administracji rządowej i samorządowej, wymiaru sprawiedliwości. W art. 10, mówiąc o „podziale i równoważeniu” władzy ustawodawczej, wykonawczej i sędziowskiej, stwierdza, że żadna nie powinna mieć dominacji w trójpodziale. Zaś sądy powinny być niezależne, a sędziowie – niezawisli.

Jak zapewnić „ludowi” udział w kształtowaniu tego, jak należy ujmować dobro wspólne i zapewnić udział w decyzjach wykonywania władzy

– to rodzi największe wyzwania i najłatwiej tu o manipulacje. Konstytucja 97 podkreśla (preambuła), że fundamentem działania władzy jest „**poszanowanie wolności i sprawiedliwości, współdziałanie władz, dialog społeczny oraz zasada pomocniczości umacniająca uprawnienia obywateli i ich wspólnot**”. Zatem nie centrali, lecz samorządom w kwestiach lokalnych powinny być oddane i decyzje, i środki ich realizacji. Przyznanie kompetencji bez możliwości jej realizacji jest nadużyciem. Wysłuchanie zainteresowanych, dialog i rzetelna współpraca, nie tylko władz między nimi, ale i ze wspólnotami obywatelskimi i NGO’s, przejrzystość w procedurach i działaniu powinna towarzyszyć działaniu władz i urzędów.

Polski model konstytucyjny lokuje się wśród demokracji liberalnych i deliberatywnych, akcentujących rolę praw człowieka jako wyznacznika standardu ochrony wolności. Demokracja to rządy większości, przy poszanowaniu interesów, podmiotowości i aspiracji mniejszości.

Z tego wynika, że większość parlamentarna, chcąc być w zgodzie z Konstytucją, nie może przegłosować byle czego, powołując się na swoją legitymację wynikającą z aktualnie posiadanej większości. Że ograniczenia mniejszości polegają nie tylko na odbieraniu im jakiś praw albo zakazanej (art. 32) dyskryminacji: mogą one się wyrażać w prozaicznych zachowaniach (np. drastyczne ograniczenia dopuszczalności i czasu wypowiedzi w parlamencie, wykluczanie z uczestnictwa w sesjach, zwoływanie posiedzeń bez dbałości o dotarcie komunikatu do wszystkich zainteresowanych, niezachowanie procedur parlamentarnych albo niewykonywanie wyroków wydanych w imieniu Rzeczpospolitej). O praworządności decyduje nie tylko tekst ustaw, ale i poziom realnej praktyki ich stosowania; Konstytucja, funkcjonowanie instytucji państwowych, procedury ustawowe – nie mogą być atrapą czy legitymizacyjnym parawanem dla arbitralności woli politycznej. I wreszcie ocena, czy w danym państwie dochodzi czy nie do naruszeń standardu demokracji, nie jest – dla państwa europejskiego będącego członkiem UE – li tylko problemem wewnętrznym.

EWA ŁĘTOWSKA

Tęsknota za normalnością (Studium w siedmiu odsłonach)

ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI

1. O wieku złoty! Jeszcze nie tak dawno temu ocenę badań naukowych w Polsce przeprowadzały zespoły ekspertów. Był to proces szybki i skuteczny, a oceny merytoryczne w poszczególnych dziedzinach były podstawą rankingu i finansowania jednostek naukowych. Administratorzy nauki nie byli jednak zadowoleni, gdyż musieli akceptować zdanie ludzi z zewnątrz, od nich niezależnych. Dążyli usilnie do tego, żeby móc przeprowadzać ewaluację we własnym gronie. Pomogła im punktoza.

2. Historia naturalna punktozy. Punktoza jest groźną chorobą zakaźną. Przenosi się przez kontakt intelektualny z zarażonymi osobnikami. Nie jest chorobą śmiertelną, gdyż zarażone osoby mogą żyć długo, jednak z bardzo ograniczoną sprawnością umysłu, przejawiającą się w bezgranicznej wierze w liczbę i w zaniku logicznego myślenia. Dogmat punktozy brzmi: wartość wyniku naukowego jest wyznaczona przez liczbę punktów przypisanych czasopismu, w którym został on opublikowany. Zatem każda publikacja w czasopiśmie 200-punktowym jest pięć razy bardziej wartościowa od każdej publikacji w czasopiśmie 40-punktowym itd. Chorzy na punktozę nie przyjmują do wiadomości tego, że badania statystyczne przeczą takiemu absurdalnemu twierdzeniu.

Szczególnie podatni na zarażenie i przemianę w „punktozowe zombie” są ludzie młodzi, rozpoczynający karierę. Z doświadczenia nabytego podczas uczestnictwa w komisjach przyznających rozmaite nagrody naukowe wiem, iż część naszych młodych aplikantów podaje w swych wnioskach i CV już tylko wykaz uzyskanych punktów ministerialnych, a pomija treść osiągniętych wyników. Nie brak jednak przykładów zachorowań na punktozę także wśród profesorów.

3. Zasięg choroby. Na świecie punktoza nie występuje w krajach, w których nauka stoi najwyżej, wolne od niej są więc Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy, Japonia, itd. Chorobę tę zwalczyły skutecznie także Chiny i Rosja. W Polsce są jeszcze nieliczne instytucje, do których punktoza nie znalazła dostępu; należy do nich np. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej, gdzie nadal istotną jest treść wyników badań.

Punktoza opanowała natomiast kręgi urzędnicze Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Nie jest jednak pewne, czy zapadł na nią także sam szef naszego resortu, pan premier Jarosław Gowin. Podejrzewam, że jest on po prostu otoczony gro- ► nem zarażonych punktozą potakiwaczy, którzy skutecznie blokują

► docieranie do niego informacji na temat metod oceniania osiągnięć naukowych w krajach o najwyższym poziomie nauki. Chyba tylko dlatego zgadza się na to, co mu podpowiadają, że jakość badań naukowych w Polsce najlepiej oceniają nie wykwalifikowani eksperci, lecz administratorzy holenderskiej bazy SCOPUS.

4. Nie wszystko się liczy, co można policzyć. Fascynacja liczbami, zwłaszcza wśród ludzi, którzy biegle opanowali posługiwanie się programem EXCEL, może prowadzić do marnowania czasu na analizy, formalnie poprawne, lecz pozbawione sensu merytorycznego.

Ktoś mógłby na przykład wpaść na pomysł badania średniej liczby odnóży stworzeń żyjących w naszych lasach, zliczałby więc pracowicie liczbę pajaków (8 odnóży każdy), przez owady (po 6 odnóży), płazy, gady, ssaki (4), ptaki (2), aż do padalców i węży, które nóg nie mają. Potem obliczyłby wartość średnią dla danego lasu i powtórzył zliczanie dla innych lasów. Mając te wartości, mógłby wyprodukować ładne tabele i sporządzić kolorowe wykresy. Myślę, że chyba wszyscy się zgodzą, że wyciąganie wniosków o lasach na podstawie porównywania średniej liczby odnóży stworzeń zamieszkujących dany las nie byłoby ani profesjonalne, ani sensowne, chociaż takie średnie, jeśli zostały rzetelnie obliczone, można publikować w postaci atrakcyjnych tabel i kolorowych wykresów.

Jeśli ktoś mi zarzuci, że podany przykład jest zbyt naciągany, to przypomnę wydaną w 2010 r., a przygotowaną na zlecenie ówczesnej szefowej MNIŚW ekspertyzę firmy Ernst & Young i Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową pt. *Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2020 roku*. Otóż w tej *Strategii* było sporo liczb, wykresów i ładnej oprawy graficznej, tylko że argumentacja przypominała właśnie obliczanie średniej liczby odnóży. Na przykład na s. 31 owej *Strategii* podano, że „w Polsce średnia roczna liczba publikacji naukowych jest blisko pięciokrotnie mniejsza od liczby etatów nauczycieli akademickich”. Zapewne obliczono to dobrze, ale co z tego wynika? Wrzucono przecież wtedy do jednego worka wszystkie uczelnie i wszystkie dziedziny. Bez pogłębionej analizy podane w *Strategii* stwierdzenie nie upoważniało do żadnych wniosków.

5. Jeszcze bardziej kolorowo! Niedawno został rozpozyszczonej dokument *Analiza aktywności publikacyjnej i grantowej PAN. Raport z analizy danych*, autorstwa dr Katarzyny Stec z Uniwersytetu Jagiellońskiego, we współpracy z prof. Jerzym Duszyńskim, prezesem Polskiej Akademii Nauk. Dokument ten liczy 343 strony, zawiera mnóstwo bardzo ładnych kolorowych wykresów. Widać, że autorka włożyła w to opracowanie wiele wysiłku i miała dobry program do sporządzania wykresów.

gorzej wypada treść tego imponującego dokumentu. Autorzy uznali, że doskonale materiał do oceny nauki w Polsce zawiera baza SCOPUS. Zaczepnęli stamtąd dane o cytowaniach, procentach, kwantylach itp. parametrach bibliometrycznych. Z agencji grantowych, krajowych i europejskich, wzięli dane o grantach. Po przemieleniu tego ogromnego materiału wyciągnęli wnioski na temat działalności instytutów PAN. Jest niedobrze – wnioskuja.

„Bardziej pogłębione spojrzenie na instytuty PAN pozwala dostrzec, że wiele instytutów PAN (30%) nie zdobyło do końca 2018 roku żadnego grantu z rozpoczętego w roku 2014 programu ramowego Unii Europejskiej – H2020. Są też instytuty (13%) niemające w swoim dorobku publikacji ujętych w bazie Scopus, w której uwzględniono 37 tys. czasopism naukowych, 150 tys. książek i 8 mln publikacji w materiałach konferencyjnych, z wszystkich dziedzin nauki, w tym humanistyki i nauk społecznych” (cytat ze s. 7 *Raportu*).

W *Raporcie* jest sporo zapierających dech w piersi informacji, jak np. ta, że średnia liczba grantów NCBR na pracownika instytutów humanistycznych wynosi 0,01 (s. 216).

Wspomniany *Raport* wzbudził ostre protesty, zwłaszcza instytutów związanych z Wydziałem I Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN, które zdaniem autorów *Raportu* działają źle.

Zgadzam się z tymi protestami. Znam dobrze Instytut Historii Nauki PAN, z racji wieloletniego członkostwa w jego Radzie Naukowej. Instytut wypadł w *Raporcie* niedobrze z oczywistej przyczyny: komputery bazy SCOPUS zawierają dane wybiórcze i wielkim błędem jest wyciąganie na ich podstawie daleko idących wniosków o stanie nauki w Polsce.

Oto dwa przykłady: Instytut Historii Nauki PAN współtworzy międzynarodową serię Correspondance de Johannes Hevelius, publikowaną w wydawnictwie Brepols (najwyższa punktacja na liście MNIŚW). Kilka miesięcy temu zakończono w instytucie wielki grant NPRH na temat Komisji Edukacji Narodowej; efektem jest monumentalne, dwunastotomowe opracowanie tego epokowego osiągnięcia w historii Polski. Autorów bazy SCOPUS oczywiście KEN ani Heweliusz nic nie obchodzi, nawet o nich pewnie nie wiedzą – wobec tego pozostało to także niewidoczne dla autorów *Raportu*.

Gdyby prezes PAN chciał przeprowadzić rzeczywistą ocenę badań prowadzonych w instytutach, to mógłby np. je zapytać o 1–3 najwybitniejsze osiągnięcia z ostatniego okresu; dowiedziałby się wtedy sporo i mógłby się chwalić np. pracami na temat KEN czy Heweliusza z IHN PAN i podobnymi dziełami z innych instytutów. Zrozumiałby również ułomność analiz bibliometrycznych i swój *Raport* wydałby pod tytułem *Nauka polska w krzywym zwierciadle bazy Scopus*. Zasłużyłby wtedy na uznanie i poklask społeczności naukowej. Zachorował jednak na punktozę.

6. Zatrważająca wizja nowego wspaniałego świata. Rok 2030. Gazeta Powszechna 1 marca donosi: Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że odszedł profesor Abecedeusz Tumiwisicki, jeden z najznakomitszych polskich uczonych, który od ponad czterdziestu lat rozślawiał nasz kraj. Jego kariera w nauce była bardzo szybka, gdyż dzięki wspaniałym osiągnięciom wszystkie stopnie od magistra do profesora uzyskał w ciągu zaledwie dziesięciu lat. Całe swe naukowe życie poświęcił pasji, którą było zdobycie ponad tysiąca punktów ministerialnych. Spędzał w laboratorium niekiedy po 15 i więcej godzin dziennie, aż w końcu niedługo przed śmiercią dopiął tego, uzyskując łącznie aż 1070 punktów. Do tego trzeba dodać dwie doskonałe monografie, za które uzyskał odpowiednio 100 i 80 punktów. Jego wychowankowie będą kontynuować jego działania i propagować jego pasję. Nauka polska poniosła niepowetowaną stratę.

List czytelnika do Redakcji 2 marca: Czy możecie wyjaśnić, jakie konkretne osiągnięcia naukowe miał profesor Tumiwisicki?

Odpowiedź Redakcji 3 marca: Widać, że nasz czytelnik nie idzie z duchem czasu i nie rozumie, że obecnie w Polsce liczy się po prostu zbieranie jak największej liczby punktów ministerialnych.

7. Czy mamy jakąś szansę wyzdrowienia i powrotu do normalności? Ze smutkiem stwierdzam, że wiele osób z rezygnacją przyjęło ogłoszone 2 sierpnia rozporządzenie MNIŚW i nową listę punktacji czasopism. Komunikat Ministerstwa zaczyna się od słów „Koniec punktozy”, ale to jest wmawianie nieprawdy. Punktoza umocniła się w nowej mutacji. Przeważającą reakcją środowiska jest teraz nie ostry protest przeciw samej absurdalnej zasadzie oceny badań, lecz tylko dyskusja na temat zasadności punktacji.

Uważam, że nie można jednak rezygnować z oporu. Trzeba nam więcej artykułów takich, jak np. Jacka Kubiaka (CNRS) – *Walka o punkty zabija naukę* (PAUza 460), czy Leszka Kaczmaraka – *Parametryzacja, choroba slotowa i po co nam to wszystko?* (PAUza 477). Pan premier Gowin czyta PAUzę i może dotrze do niego, że na świecie ocenia się naukę inaczej i że trzeba zrobić wszystko, aby Polska przestała być skansenem metod, od których przodujące w nauce kraje już odeszły. I może nie ziści się koszmarna wizja nowego wspaniałego świata.

ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI

Uniwersytet Warszawski

zaPAU

Groch o ścianę

Od wielu lat we wszystkich dyskusjach na temat ustroju nauki w Polsce wszyscy powtarzają – jak mantrę – postulat, aby uwzględnić różnorodność nauki, aby przyjąć do wiadomości, że poszczególne dyscypliny mają swoją specyfikę, mają różne cele, różne sposoby działania, różne metody oceny rezultatów, różny poziom i różne możliwości. Niestety, ten zgodny głos środowiska okazuje się (też od lat) wyłącznie rzucaniem grochu o ścianę. Mimo apeli, mimo argumentów, mimo protestów, wszystkie ekipy próbujące „zreformować” naukę w Polsce lądują w tym samym paradygmacie: tworzy się „ogólne ramy”, w które następnie usiłuje się wcisnąć filologów, historyków, socjologów, techników, matematyków, fizyków, chemików, biologów, filozofów wreszcie. Naprawdę zastanawia, dlaczego ten oczywisty nonsens ma tak uporczywy żywot, dlaczego nie potrafi go usunąć ani zmiana kierownictwa resortu nauki, ani zmiana rządu, ani nawet zmiana ustroju państwa (wszak za PRL-u było bardzo podobnie).

Ostatnio gorące dyskusje wzbudza „punktacja” czasopism, która dobrze ilustruje ten stan rzeczy. Jak zwykle, mądrze za ministerstwa wprowadzili jedną zasadę dla wszystkich dyscyplin: wskaźniki ustalane są zasadniczo na podstawie międzynarodowych baz danych. Podobno ma to na celu skłonienie Polaków do publikowania w czasopismach zagranicznych, najlepiej „z wysokiej półki”.

Na pozór nic w tym złego. Być może nawet w wielu dyscyplinach przyczyni się to do „umiędzynarodowienia” badań prowadzonych w naszym kraju.

Są jednak dziedziny i dyscypliny, które były międzynarodowe „od zawsze”, pracują w stałej współpracy międzynarodowej, bez żadnego problemu publikują wszędzie na świecie i w najlepszych czasopismach. Nie ma więc żadnej potrzeby ich „umiędzynarodawiania”. Nie chcę wypowiadać się w imieniu wszystkich, powiem więc tylko, że należy do nich fizyka, w szczególności fizyka wysokich energii, dyscyplina, którą zajmowałem się przez wiele lat, i którą dalej staram się śledzić w miarę możliwości.

Wyrazem i symbolem tej dobrej, ustalonej pozycji polskich fizyków wysokich energii jest całkowicie międzynarodowe (publikujące wyłącznie po angielsku) czasopismo „Acta Physica Polonica B” (APPB). Publikują w nim autorzy z całego świata i znajdując się ono we wszystkich najważniejszych bibliotekach naukowych.

Tymczasem, w wyniku obecnej klasyfikacji, polscy fizycy wysokich energii są praktycznie wyłączeni z publikowania w APPB. Większość polskich prac na dobrym poziomie ląduje w czasopismach zagranicznych, ponieważ – ze względu na niską punktację APPB – kierownicy placówek naukowych wymuszają to na swoich pracownikach. Trzeba mieć naprawdę bardzo niezależną pozycję, aby oprzeć się

takiemu naciskowi. Z kolei prace słabsze (których nie udało się opublikować w porządnym czasopiśmie zagranicznym) nie przejdą też przez gęste sito recenzentów APPB.

Oczywiście APPB poradzi sobie, publikując wyłącznie prace autorów zagranicznych. Ale uważam, że z punktu widzenia interesu polskiej fizyki i jej znaczenia w świecie, należy dołożyć starań, aby APPB – jako nasza wizytówka – było wspierana też dobrymi pracami polskich fizyków, a w każdym razie, aby nie byli oni zniechęceni do wysyłania tam swoich wyników. Tę patologiczną sytuację można prosto uzdrowić: wystarczy „punktację” APPB zrównać, lub przynajmniej znacznie zbliżyć do czasopism najwyższej punktowanych.

O ile się orientuję, podobnie jest w matematyce, gdzie też istnieje międzynarodowe czasopismo „Fundamenta Mathematicae”, o wielkiej tradycji. Trudno mi wypowiadać się w imieniu innych dyscyplin, sądzą jednak, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby dać im wolną rękę: Te, które zechcą, winny mieć możliwość dokonania wyboru jednego lub dwóch najlepszych polskich czasopism, które będą wysoko punktowane. W ten sposób można skupić wysiłek środowiska na utworzeniu i wsparciu niewielkiej liczby czasopism na dobrym poziomie. Przypomnijmy, że wspaniała przedwojenna polska szkoła matematyczna rozwinęła się właśnie w oparciu o dwa czasopisma, wydawane w Warszawie i we Lwowie.

Powtórzę jeszcze raz: każda dyscyplina winna mieć w tej sprawie pełną autonomię, bo każda ma inne możliwości i inne uwarunkowania. Z pewnością są takie, gdzie wybór najlepszych polskich czasopism byłby bardzo trudny, albo wręcz dysfunkcyjny. W takim wypadku można po prostu zaakceptować stan obecny.

Istnieją zwolennicy tezy, że Polska winna poddać się generalnym trendom globalizacji i zrezygnować z własnych czasopism, likwidując je lub sprzedając zagranicznym koncernom. Być może są dyscypliny, dla których jest to dobre rozwiązanie. Ale są też takie, gdzie rezygnacja z niezależności oznaczałaby wyraźny regres w ich międzynarodowej pozycji, czyli bardzo poważny błąd strategiczny. Nie mówiąc już o tym, że oznaczałoby to wypchnięcie Polski z międzynarodowego rynku publikacji naukowych. Zwolennicy tej koncepcji grzeszą – moim zdaniem – naiwną wiarą w „fair play”, jakoby obowiązujący na tym rynku. Tymczasem w rzeczywistości rządzą tam wielkie korporacje, walczące o utrwalenie swojego monopolu, gwarantującego im krocie kosztem całego środowiska naukowego.

Nie mam złudzeń: utrwalonego od lat paradygmatu nie obali jeden felieton. Ale pamiętam też słowa Leszka Kołakowskiego, który – nawiązując do zdobycia Jerycha – apelował: TRĄBMY, TRĄBMY, MOŻE JAKIŚ CUD SIĘ STANIE.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków

Kraków – warto wiedzieć

W stronę Afryki

Za kilka tygodni grupa krakowskich lekarzy po raz szósty wyjedzie do Afryki z misją humanitarną. – Wszystko zaczęło się od rozmowy w dyżurce lekarskiej I Kliniki Chirurgii Ogólnej Collegium Medicum UJ – opowiada dr med. Rafał Solecki. – To był 2007 rok. Pracował z nami kolega z Kamerunu, dr med. Georges Kamtoh, chirurg, absolwent naszej uczelni. Opowiadał nam o sytuacji w Kamerunie, o tym, jak się tam żyje, jak zorganizowana jest opieka medyczna (a właściwie, że jej brak), mówił, że poza stolicą i drugim dużym miastem nie ma pomocy doraźnej, nie ma karettek, nie ma bezpłatnych świadczeń.... Wówczas podjęliśmy decyzję: pojedziemy tam.

I w następnym roku czterech lekarzy, wykorzystując przysługujące im urlopy wypoczynkowe i kupując za własne pieniądze bilety, udało się do Kamerunu. Byli to doktorzy: Georges Kamtoh; Jerzy Friediger, chirurg, wcześniej pracownik Szpitala Bonifratrów, obecnie dyrektor Szpitala im. Stefana Żeromskiego w Krakowie; Jarosław Garlicki, kierownik Oddziału Anestezjologii i Intensywnej Terapii w I Klinice Chirurgii Ogólnej CMUJ i Rafał Solecki, chirurg, obecnie pracujący w Szpitalu Bonifratrów. Wieźli także sprzęt medyczny darowany przez różne firmy medyczne. Na lotnisku w Jaunde (stolicy Kamerunu) czekała już rodzina ich kolegi. A na drugi dzień wyjazd do odległego o 50 kilometrów miasta Akonolinga, gdzie mieścił się szpital piątej kategorii, a to oznacza 50 do 100 pacjentów, którymi opiekuje się jeden lekarz. W tym przypadku był to epidemiolog, któremu w czasie operacji ratujących życie pomagało dwóch przyuczonych techników. Zobaczyli też ludzi, którzy stali w kolejce, żeby kupić krew przed operacją. W czasie dziesięciu dni przeprowadzili 50 operacji, głównie przepukliny, które są tam częstym schorzeniem. Już wtedy, podczas pierwszego wyjazdu otrzymali wsparcie od pani Mirosławy Etoga, honorowego konsula RP w Kamerunie. Mąż Mirosławy Etoga jest emerytowanym pułkownikiem lotnictwa wojskowego w Kamerunie, doradcą wojskowym prezydenta Kamerunu, dzięki czemu lekarze mogli liczyć na pomoc wojska. Szczególnie w czasie drugiego wyjazdu, gdy dyrektor szpitala w miejscowości Obala odmówił współpracy, wystarczył jeden telefon do pani Mirosławy, a następnie telefon jej męża, by po dwóch godzinach zjawilo się wojsko i w ciągu następnych kilku godzin zbudowało pod namiotem polowy oddział szpitalny. Zaś sama pani Etoga nie tylko reprezentuje Polskę w Kamerunie, ale pomaga też swoim młodym kameruńskim rodakom, wysyłając ich na studia do Polski. Jest jeszcze jeden polski akcent. W 1882 roku polski podróżnik i badacz Afryki, Stefan Szolc-Rogozieński założył w Kamerunie polską kolonię, która niestety

nie przetrwała długo. Ale pamiętamy o nim, chociażby dlatego, że swoje zbiory etnograficzne przekazał polskim instytucjom, w tym krakowskiej Akademii Umiejętności.

W 2018 roku znaleźli się na Madagaskarze. Miejscem pobytu było tym razem Antsirabe, ponad 200-tysięczne miasto, gdzie działa szpital Ave Maria, prowadzony przez franciszkanki. Na Madagaskarze jest bieda (średnia pensja to nasze 200 zł),



Fot. dr Jerzy Friediger

Dr Rafał Solecki i dr Jarosław Garlicki w szpitalu w miejscowości Obala

duża przestępczość i płatna służba zdrowia. Jeżeli zachodzi konieczność operacji, wówczas cała rodzina składa pieniądze, nawet pozbywając się skromnego majątku, żeby opłacić koszty leczenia. W szpitalu zakonnym jest inaczej: dobry poziom, lekarze zatrudnieni na etatach i 150 pacjentów przyjmowanych codziennie za symboliczną opłatą. Dzieje się tak, ponieważ szpital korzysta z zagranicznej pomocy niesionej przez organizację pożytku publicznego. W czasie kilku dni polscy lekarze wykonali ponad 400 konsultacji pediatrycznych, 100 chirurgicznych, przeprowadzili 60 operacji. W 14 przypadkach – przeprowadzonych przez dr. Rafała Soleckiego – było to usunięcie dużego wola tarczycy. W tym regionie, z powodu niedoboru jodu, choroba tarczycy występuje bardzo często, tak jak dawniej u nas, na Podhalu.

– Jeździmy tam, bo mamy satysfakcję, świadomość, że robimy coś naprawdę dobrego – mówi dr Solecki. – A poza tym, to są takie miejsca, że jak się raz je pozna, to chce się wracać. To jest zapach Afryki, wschody i zachody słońca, krzyk lasu, cykady i czerwona ziemia, której odrobinki wbijają się bezlitośnie w ubrania.

MARIAN NOWY

Lista obecności

A oto lista osób, które brały udział w wyprawach do Afryki: dr med. Rafał Solecki (chirurg) – 5 razy, dr med. Jerzy Friediger (chirurg) – 5 razy, dr med. Georges Kamtoh (chirurg) – 5 razy, dr med. Jarosław Garlicki (anestezjolog) – 4 razy. Rządziej (1–3 razy): dr med. Maria Grohman-Wieczorek (chirurg dziecięcy, urolog), dr Lidia Stopyra (pediatra, specjalista chorób zakaźnych), prof. dr med. Andrzej Matyja (chirurg), dr Teresa Friediger (rehabilitacja), piel. Marta Garlicka (pielęgniarka anestezjologiczna), mgr Magdalena Solecka (pedagog), dr med. Maciej Matyja (chirurg), dr med. Wojciech Kibil (chirurg), dr med. Wojciech Stycuła (anestezjolog), dr Michał Cicio (anestezjolog), Anna Mydlowska (studentka medycyny). Od trzeciego wyjazdu krakowskich lekarzy wspierali ich koleżanki i koledzy z innych miast: dr Dariusz Tuleja (okulista) – Koło, dr hab. med. Elżbieta Petriczko (pediatra, endokrynolog) – Szczecin, dr Anna Chałupczak-Winiarska (dermatolog) – Ostrowiec Świętokrzyski, dr Zofia Sikorska (okulista) – Bydgoszcz, Mirosława Misiewicz (dyrektor Biura Towarzystwa Chirurgów Polskich) – Warszawa, Jakub Domański i Julia Domańska (Poznań). Pomocą w Kamerunie zawsze służyli rodzice i przyjaciele rodziców Georgesa Kamtoha: Pierre Kamtoh – sędzia Trybunału Środkowoafrykańskiego i Suzanne Kamtoh z kameruńskiego stowarzyszenia CEST oraz Marie i Jean Akame Fouman.